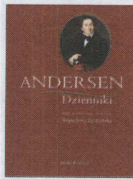


Sława nigdy go nie znuży i nigdy nie omieszka wspomnieć o kolejnej miłej identyfikacji jego skromnej osoby. Pewien amerykański dziennikarz drukuje nawet sfiogowany z nim wywiad. **Skąd my to znamy?**

# ZĘBY ANDERSENA

MAREK BIĘCZYK



**DZIENNIKI**  
HANS CHRISTIAN ANDERSEN  
PRZEL. BOGUSŁAWA SOCHAŃSKA  
Media Rodzina, Poznań

**W to, że bajkopisarz nie mieszka w domku z kart i nie sypia z Królową Śnieżką, czyli w to, że może mieć biografię, da się jakoś uwierzyć; trudniej sobie wyobrazić, że bajkopisarz prowadzi przez całe życie szczegółowy dziennik.**

Tu baśnie, tam detale codziennego istnienia, tu czyste cuda, tam wszystko po kolei, tu magiczne pantofelki, tam cena za pokój i niepokojąca zawartość nocnika. I to wszystko spod jednego pióra? Ale tak jest i masz babo (Jago) placel: kilka tysięcy stron zapisanych dzień po dniu. Szczwany lis Rudnicki poszedł na łatwiznę i w „Śmierci czeskiego psa” opisał (kapitałnie) dziwny żywot Hansa Christiana Andersena. Mnie pozostała żmudna lektura diariusza, choć i tak w selektywnym wyborze sporządzonym przez tłumaczkę i znawczynię Duńczyka Bogusławę Sochańską.

Zacznę od Gombrowicza, bo wiadomo. Lecz nie tego od „Dziennika”, gdyż to całkiem inny pomysł na pisanie o sobie, ale tego od „Kronosu”. Czyli od sprawozdania z trzech najważniejszych dziedzin pisarskiego życia: zdrowie, finanse, recepcja dzieła. Więc z Andersenem jest ich już dwóch. Z Tomaszem Mannem trzech. Ale Gombrowicz robi to o wiele krócej, w corocznych lub comiesięcznych podsumowaniach, a nie w codziennych wzmiankach, które wypełnią dziesięć tomów. Zębom (na przykład) poświęca Andersen kilkaset wpisów; zaczynają go boleć w 1825 r. i bołą przez całe życie; na starość boli go nawet sztuczna szczęka. Inne organy też mają swoje dokładne kroniki; zwłaszcza penis, ważna jest historia stolca, rzadko on satysfakcjonuje; w gorsze dni trzeba odnotować liczbę wypróżnień. Finanse: otrzymujemy szczegółowe informacje, co ile kosztuje. Prawie zawsze kosztuje za dużo. Ceny podawane są najczęściej w duńskiej walucie. Nie, to nie była wtedy korona, ale rigsdal, jedno z najczęściej używanych słów w „Dzienniku”. Recepcja jest dobra, na ogół entuzjastyczna. Jedynym krajem, w którym nieco sarkają, a nawet niekiedy plują, pozostaje rodzina Danii. Co było do przewidzenia.

Wszystko to może wydać się osobliwe, a zarazem okazuje całkiem normalne. Jak każdy (mniej więcej) pisarz Andersen jest hipochondrykiem, lubi pienią-



W swoim dzienniku Andersen zdaje sprawę z trzech najważniejszych dziedzin pisarskiego życia: zdrowie, finanse oraz recepcja dzieła



dze i żywi się miłością własną. Jak każdy jest mimoza, łatwo go zranić; po kiepskiej recenzji Kierkegarda Andersen ponoć na dziesięć lat odkłada pióro. Przypomnę, że Fredro, przeczytawszy złą recenzję jednej z komedii, zaniechał komediowej twórczości na lat piętnaście. Od innych pisarzy różni Anderseną to, że nie wszyscy zapisują swoje codzienne biuletyny zdrowia, wydatki na obiad i nazwiska admiraatorów. A jeśli już, nie myślą koniecznie o pośmiertnej edycji notatek. Andersen jej się spodziewa.

### Celebryta. Avant la lettre

Kogoś, kto jak ja o Andersenie wiedział to tylko, że napisał najsłynniejsze baśnie świata, jego „Dziennik” zaskoczy jeszcze dwiema co najmniej rzeczami. Po pierwsze, odkryje autora fantastycznie płodnego; co tam baśnie, skoro toną one w morzu innych tekstów: powieści, sztuk teatralnych, librett, poezji, relacji z podróży. Po drugie, objawi nam celebrytę *avant la lettre*, którego dlonie ścisłane są przez królów i księżąt a którego nazwisko jest rozpoznawane jak Europa długa i szeroka. Niejeden chce się o Andersena otrzeć, pewien amerykański dziennikarz drukuje sfingowany z nim wywiad, aby przydać sobie blasku; skąd my to znamy. Z tego punktu widzenia Andersen wieździe żywot zgoła baśniowy; o sławie marzył od początku i przysłał całkiem szybko. Ludzie na dźwięk jego nazwiska zwracają się do niego na ulicach, w pociągu. Nigdy to go nie zużył i nigdy nie omieszka wspomnieć w „Dzienniku” o kolejnej miłej identyfikacji jego skromnej osoby. Albo o kolejnym portrecie czy zdjęciu opublikowanym w prasie.

Lubi się podobać, wymawiać swe nazwisko. Wie, jak być kochanym. Jeździ bez przerwy, czyta swe utwory, gdzie tylko zechcą go słuchać; „Dziennik” jest w dużej części kroniką jego spotkań i wystąpień. Andersen ma parcie na salon, chrapkę na wysokie kręgi. Jest o siedem lat starszy od Mickiewicza, cztery lata młodszy od Slowackiego; jest dzieckiem epoki, która rozdaje talenty smarkaczom, obdarza geniuszem w kołysce. Wcześniej stało się jasne, że Hans Christian będzie wielki, ale w dziwny sposób (dziwny? sprawdzimy, o czym pisze Slowacki, a o czym pisze on) światowe uznanie nie zwleka z nadejściem. Mnóstwo przekładów (także na polski; niektóre dzieł nastawione tłumaczenia nigdy nie zostały wznawione), artykułów w prasie, inscenizacji utworów. Nie jest jeszcze tym, kim stanie się po śmierci: pisarzem dla dzieci. Wtedy baśnie, tak jak dzisiaj literaturę fantasty, czytali wszyscy.

Królowie biorą go pod rękę, królowe się starają („na obiad podano dziczyznę, którą upolował król, i rybę złowioną przez królową”). Wreszcie jedno udane życie, chciałoby się powtórzyć słynne słowa Ciorana o Eliadem. Sam Andersen do tego się nie przyzna, cierpi na humory, napady ciężkiej melancholii i zwątpienia, na permanentne złe samopoczucie, lecz „Dziennik” nie przestaje świadczyć o ciągłym powodzeniu. Tysiące życzliwych ludzi na drodze, setki zapisanych nazwisk i odwiedzonych miejsc, no a w Anglii książki sprzedają się tak dobrze, że ludzie chcą się uczyć duńskiego. Nawet Dickens ma zamiar.

Przyjmują go najfajniejsze umysły, najlepsze pióra, najwięksi wirtuozi. Tu Hugo i Balzac, David, tam Heine, Schumann, Bettina von Arnim i Liszt. Niekiedy, dla nas za rzadko, opíše coś więcej niż okoliczności, niż to, co z nimi jadł i ile kosztował powóz, który wioził go do Dickensa (sześć szylingów). O Balzacu powie krótko: „Niski kłoc o szerokich ramionach”. To są te ciekawsze ustępy „Dziennika”.

### Zaglądam ludziom w nerki

Trochę jest tego za mało, by całą książkę czytać ciurkiem. Chciałoby się więcej podobnych zdań, krótkich kopnięć. Andersen się pilnuje, nie po to pisze

dziennik, aby się wysilać albo takie smaczki nie są jego specjalnością. Tylko czasem, zniemacka, zdarzy się fantastyczne albo zawiadackie zdanie. „Denerwuje mnie niemal wszystko, niedawno zaglądam ludziom w nerki i mówię do siebie: nie podobają mi się”. Albo zapisze takie marzenie pewnej znajomej: „Ach, jak mogłabym w sposób godny sprawić sobie dzieciątko?”. Czy taką krytykę czytanego utworu: „wszystko jest mgliste, jak kłęby pary przy gotowaniu starych skór, na których spisano sagi”. Albo ładny obrazek poetycki: „rzeką płynęła mała łódka z białym żaglem, jak list miłosny”. No i ta informacja: „Była tu pewna wyrzucona z kraju Polka, hrabina, w której domu zaczęło się powstanie”. Boże, jeszcze jedno powstanie, a my nic o nim nie wiemy!

Reszta dzieje się przede wszystkim w podróży. Andersen jeździ szaleńczo. Jak każdy wówczas romantyk, wte i wewte; jak każdy wówczas romantyk niby choruje, ale dom ma w nogach. Szwajcaria, Niemcy, Włochy, Włochy bez przerwy, Grecja, Turcja, Francja, Anglia, Hiszpania. O której i gdzie przyjechał, co zobaczył w ciągu dnia, z kim się spotkał, o której położył się spać. Z tych wyjazdów powstaną książki podróżnicze, dla nich rezerwuje mięso, a w „Dzienniku” wkłada szkielec; godziny i miejsca, czasem opisy przyrody czy innych okoliczności. Ale z dawnowe; można porównać, co pisze o Pałacu Krysztalowym w Sydenham Parc on, a co pisze Dostojewski. Oczywiście koncerty, opery, po kilka razy w tygodniu. Powracają nazwiska, które znajdujemy w korespondencjach innych światowców, jak słynnej śpiewaczki Malibran, opiewanej również w listach przez Zygmunta Krasinśkiego, z tą różnicą, że Krasinśki dołoży z tuzin meatafor, słuchając arii, dwa razy umrze z rozkoszy i dwa razy zmartwychwstanie.

Najbardziej zadowoleni będą historycy życia codziennego w Europie romantycznej i postromantycznej. Np. dowiedzą się szczegółów o salonowych i podróżniczych obyczajach, o skomplikowanych przepisach paszportowych i wizowych: to wieczny kłopot. Mickiewicz i Krasinśki na paszporty dosłownie chorowali, Andersen jeszcze bardziej, materiału historyk znajdzie na długi elaborat. Albo służba medyczna i kwarantanny, usługi pocztowe, sprzedaje biletów. Stypendia dla pisarzy. Organizację powitań oficjalnych. Historyk kolejniactwa i żegluga też poczyta z pożytkiem. Opisy wagonów i sceny na żywcą, które znamy z kina, odjazdy emigrantów, ich rozdzierające pożegnania na małych stacyjkach. Albo dla historyków obyczajowości zupełnie drobiazgi codzienne, sposoby iluminacji miast czy fakt, że w Neapolu opera jest wystawiana o godzinie drugiej w nocy.

### Gorące powietrze i krew, Italia!

Ale wróćmy do ciała, tym razem zdrowego, Andersen sporo o nim pisze. Bo ze zdrowym też ma kłopoty. Największy polega na tym, że ciało bardzo chce, lecz Andersen mu nie pozwala. Ciało okropnie się męczy i to – wedle „Dziennika” przynajmniej – przez długie lata. Męczy się w swej młodej postaci i kilkadziesiąt lat później w postaci starej. Oto dość młody Andersen jedzie do Neapolu, podziwia Wezuwiusza. Wulkan jest czynny, on też jest czynny. Gorące powietrze, gorąca krew, Italia! Kobiet wokół bez liku, a i stręczycieli nie brak, gdyby śmiałości zabrakło – lecz nie, Hans Christian odmawia. On nie wybuchnie. Czas później będzie jechał pociągami. „W nocy miałem u swego boku damę, która była tak gorąca, że wsadziłem pomiędzy nas książkę”. On woli być „chory od powstrzymywania się”.

Dlaczego? Szukajmy odpowiedzi u biografów, mam to chociaż szczęście, że pisząc wyłącznie o „Dzienniku”, nie muszę plotkować. W „Dzienniku” wstrzemięźliwość jest jakoby religijnej natury. Nie ulegnę żądzy, mówi autor, „gdyż jestem protestan-

tem”. Cokolwiek to znaczy. Ale Boga nie ma w „Dzienniku” aż tak bardzo dużo. Najwięcej na początku, gdy młody Hans Christian boi się o wyniki egzaminów w szkole, i nieco pod koniec życia.

Pojawia się też w krótkiej polemice z Kierkegaardem, który twierdzi, że „Bóg w niebie nie rozumie w pewnym sensie geniusza”; jak to, nie rozumie? W domyśle: Andersena miałby nie rozumieć? Nie znajdziemy jednak w „Dzienniku” żadnych dokładniejszych wywodów teologicznych czy innych; to, co nie należy do rzeczywistości bezpośredniej, codziennej, traktowane jest ogólnie. Andersen nie jest Chateaubriandem, nie pisze dla potomności „pamiętników z za grobu”, w których jak w żadnym innym dziele objawi na materiale własnego życia swą wielkość. Zresztą Andersen tworzy równoległe oddzielną autobiografię, zaczyna jeszcze przed czterdziestką, skąd my to znamy. W „Dzienniku” praktycznie nie pada ani słowo analityczne o własnej twórczości, do zapisów refleksji polityczne, filozoficzne przodostają się co najfajniej w szczątkowej postaci, żółci wylewają na innych też jest względnie mało. Pod koniec życia trzeźwo zapisze: „Jeśli ten dziennik będzie kiedyś czytany, zostanie uznany za pusty, nie mówiący; tego, co się dzieje w mojej duszy i wokół mnie, nie przelewam na papier z wielu powodów; ze względu na mnie samego i na wielu innych”.

### Dickens to, Dickensowa tamto

Dobrze, chce oszczędzić innych, lecz nie chce oszczędzić siebie samego w oczach potomnych? Nie widzi w swoim „Dzienniku”, jakby tu rzec, pewnej wznieślej zbyteczności?

Otóż nie – i właściwie za to go polubiłem. Ma w sobie niewinną naiwność swoich baśniowych bohaterów. W tej naiwności jest coś dobrodusznego i porządnego. Porządnie streszcza wydarzenia swego życia, bo tak się robi, porządnie wymienia wszystko po kolei. Porządnie wierzy, że może to kiedyś będzie kogoś obchodziło, skoro on, Andersen, za życia obchodzi żywych. I jest taki przymilny dla ludzi. Wiemy z innych źródeł, że np. Dickens ma serdecznie dość Andersena, który lubi się u niego zasiedzieć, pomieszkować parę tygodni. W „Dzienniku” Andersen unosi się nad ich znajomością, ach, Dickens to, a Dickensowa tamto. Biorę jego naiwność za dobrą monetę, jak bez minimum naiwności pisać baśnie?

Lecz nie przekreśla to fundamentalnego, męczącego pytania: po co, po co to całe zapisywanie, po co parę tysięcy stron? Jaki imperatyw nas gna do tworenia takiego rodzaju hiperrealistycznego zapisu? Pewnie większość z nas próbowała w młodości jakiś dziennik zdarzeń prowadzić: poszedłem na mecz, wieczorem widziałem się z A., na obiad była kura, położyłem się po północy, znowu za późno. Aby nic nie uronić, zobaczyć w blasku liter odbicie dnia, umocować czas w jego echu. I szybko pojąć, że tym sitkiem niczego się nie złapie. Może na Fejsie idzie lepiej.

Andersen żywi uroczysty stosunek do własnego życia, oczywiście jest to egotyczne, narcystyczne, ale da się w tym odczuć, by tak to określić, szacunek dla życia w ogóle. Rodzaj absolutnej powagi, która sama w sobie jest historyczna; odeszła ona wraz z epoką; dzisiaj jej już nie ma. Skoro życie powstało, dobrze się w Andersenie zadzierzgnęło, musi zostać drobiazgowo zapisane, od porannej kawy po wieczór w operze. Myślałem chwilami, czytając ten dziennik, o dziele Romana Opalki, codziennym fotografowaniu siebie aż do śmierci. Ostatni wpis Andersena brzmi: „Przez trzy godziny siedziałem na balkonie”. Kolejnych wpisów, przez tydzień, dokonuje pod jego nadzorem opiekująca się nim Dorothea Melchior. „Pięć minut po jedenastej nasz drogi przyjaciel wydał ostatnie tchnienie”. Dziennik się kończy, zatem kończy się życie. Co było do udowodnienia.